

Rozdział 1

16 września 1991 r. A więc w końcu się zaczęło! Po tylu latach gadaniny, na dobitkę częściej, przeprowadziliśmy wreszcie pierwszą akcję. Jesteśmy w stanie wojny z Systemem i nie jest to już tylko wojna słów. Nie mogę zasnąć, toteż spróbuję przelać na papier kilka myśli, jakie przelatują mi przez głowę.

Niebezpiecznie tutaj rozmawiać. Ściany są bardzo cienkie, a i sąsiedzi mogą się niepotrzebnie zainteresować, kto i w jakim celu urządza obok nocne narady. Poza tym George i Katherine śpią. Czuwamy tylko ja i Henry, który gapi się teraz w sufit. Ależ jestem spięty! Tak spięty, że nie mogę spokojnie usiedzieć. Na dobitkę czuję się do cna wykończony. O 5.30 postawił mnie na nogi George. Zatelefonował, ażeby ostrzec, że rozpoczęły się aresztowania. Od tamtej pory latałem przez cały dzień, cały w nerwach.

Jednocześnie rozpiera mnie radość, no bo wreszcie zaczęliśmy działać! Nikt naturalnie nie ma zielonego pojęcia, jak długo będziemy mogli walczyć z Systemem. Być może cała zabawa potrwa tylko do jutra, nam jednak nie wolno się nad tym zastanawiać. Już zaczęliśmy, musimy więc postępować według planu, tak starannie przygotowywanego od dwóch lat, czyli od czasu federalnej akcji „Broń”.

Był to dla nas cios bolesny! A jaką hańbą i wstydem nas okrył! Pamiętam wszystkie te dęte przechwałki patriotów: „o nie, komu jak komu, ale mnie rząd nigdy nie odbierze broni!”. A kiedy przyszło co do czego, bractwo podwinęło pod siebie ogony i posłusznie oddało cały majdan.

Bygiem a prawdą, może i powinna krzepić nas na duchu tak wielka liczba Amerykanów, którzy zachowali broń blisko osiemnaście miesięcy po wejściu w życie ustawy Cohena. W Stanach Zjednoczonych zniesiono wtedy prawo do prywatnego posia-

dania broni. Po tamtej pamiętnej akcji rząd nie uderzył w nas mocniej tylko dlatego, że wielu rodaków, działając wbrew nowo uchwalonemu prawu, ukryło swój oręż, zamiast przekazać go władzom. Nigdy nie zapomnę tamtego przerażającego dnia, 9 listopada 1989 roku.

Załamotali do mnie o piątej nad ranem. Nie podejrzewając niczego, wstałem z łóżka i poszedłem otworzyć.

Uchyliłem drzwi; w tej samej chwili bezceremonialnie wpadło do środka czterech Murzynów. Jeden trzymał w ręku kij baseballowy, a dwóch miało zatknięte za pasy długie noże kuchenne. Czarnuch z kijem wepchnął mnie do kąta, przybrał groźną postawę i stanął tuż obok. Pozostali zaczęli przetrząsać mieszkanie. W pierwszej chwili pomyślałem, że to bandyci. Takie zdarzenia stały się plagą po wejściu w życie ustawy Cohena: bandy Czarnych zaczęły napadać na mieszkania i domy Białych, dokonując rabunków i gwałtów. Czarni wiedzieli, że jeśli nawet ich ofiary mają broń, to i tak nie odważą się jej użyć w samoobronie.

Ten, który mnie pilnował, mignął jakąś legitymacją, po czym powiadomił oficjalnym tonem, że on oraz jego ludzie są „specjalnymi pełnomocnikami” Komitetu do spraw Stosunków Międzyludzkich Stanu Północna Wirginia. Dodał, że szukają broni palnej.

Wydawało mi się, że śnię. Nie, to przecież niemożliwe! Potem jednak zauważyłem opaski z zielonego materiału na lewych ramionach moich nieproszonych gości. Wyrzucali na podłogę zawartość szuflad, bebeszyli schowki i szafy, nie zwracając najmniejszej uwagi na przedmioty, na które pospolici rabusie natychmiast by się połakomili: nowiuteńką golarzkę elektryczną, kosztowny złoty zegarek kieszonkowy, butelkę po mleku wypełnioną dziesięciocentówkami. Niech mnie diabli porwą, pomyślałem, przecież oni istotnie szukają broni!

Wkrótce po uchwaleniu ustawy Cohena wszyscy członkowie naszej Organizacji ukryli broń wraz z amunicją w specjalnych pojemnikach, składając te ostatnie w niedostępnych miej-

sach. Członkowie mojej jednostki starannie naoliwili spluwy, zamknęli je hermetycznie w bębnie po oleju, po czym spędzili znojny weekend, pokrywając ów bęben blisko półmetrową warstwą ziemi w lesie w zachodniej Pensylwanii.

Ja jednak zatrzymałem sobie coś niecoś. Ukryłem swój rewolwer na naboje kalibru .357 Magnum oraz pięćdziesiąt sztuk amunicji pod futryną drzwi łączących kuchnię z salonem. Wyciągając dwa obluzowane gwoździe oraz deskę, mogłem w razie potrzeby wydobyć broń równo w dwie minuty. Specjalnie to sprawdziłem. Uznałem, że policja nigdy u mnie niczego nie znajdzie. A ci niedoświadczeni Czarni nie natkną się na mój schowek, choćby szukali i milion lat.

Ci trzej, którzy prowadzili rewizję, przeszukali już najbardziej oczywiste miejsca, po czym przystąpili do prucia materaców i poduszek z sofa. Zacząłem gwałtownie protestować, nawet przeleciało mi przez myśl, czy nie stawić oporu. Właśnie wtedy na korytarzu nastąpiło jakieś poruszenie. Inna grupa operacyjna, prowadząca przeszukanie w lokalu obok, zajmowanym przez młode małżeństwo, odnalazła pod łóżkiem strzelbę. Sąsiada i jego żonę zakuli w kajdany, po czym zaczęli brutalnie sprawdzać oboje na dół. Zatrzymani mieli na sobie tylko bieliznę, kobieta zaś krzyczała, że w mieszkaniu pozostało małe dziecko.

Tymczasem do pokoju wszedł piąty mężczyzna. Był rasy kaukaskiej, lecz miał nienaturalnie smagłą cerę. Zauważyłem na jego ręku zieloną opaskę. W dłoni trzymał dyplomatkę i bloczek-notatnik. Czarni przywitani go uniżenie.

– Niczego nie znaleźliśmy, panie Tepper.

Tepper przesunął palcem wzdłuż listy nazwisk i numerów mieszkań, które miał zapisane w notatniku, aż wreszcie zatrzymał się na moich danych. Zmarszczył czoło.

– Ten tutaj to niezły ptaszek – warknął – notowany za przestępstwa popełnione z pobudek rasistowskich. Dwukrotnie wzywany przez Komitet. Miał osiem sztuk broni palnej i żadnej nie oddał.

Następnie wydobyl z dyplomatki niewielki czarny przedmiot wielkości paczki papierosów, połączony cienkim przewodem z jakimś urządzeniem znajdującym się w teczce. Zaczął wodzić tym aparacikiem po ścianach, a wtedy dał się słyszeć głuchy, basowy pomruk. Kiedy sonda znalazła się w pobliżu wyłącznika światła, ton dźwięku natychmiast wzrósł, ale Tepper natychmiast połapał się, że spowodowała to obecność metalowej puszkii połączeniowej i przewodów pod warstwą tynku. Kontynuował metodyczne poszukiwania. Kiedy przesunął pudełkiem wzdłuż lewej framugi drzwi prowadzących do kuchni, brzęczenie przeszło w ostry, wibrujący świst. Przejęty i ukontentowany Tepper chrząknął, a wtedy jeden z Murzynów natychmiast wyszedł na zewnątrz, by po kilku sekundach powrócić z młotem kowalskim i łomem. Wyłuskanie mojego rewolweru ze skrytki zajęło im niecałe dwie minuty. Bez żadnych ceregieli zakuli mnie w kajdanki i wyprowadzili na korytarz. W całym domu aresztowali cztery osoby. Mnie, parę, o której wspomniałem, i starszego faceta z trzeciego piętra. Wprawdzie nie znaleźli u niego broni, ale na półce szafki natknęli się na cztery ładunki śrutowe. Przechowywanie amunicji również stanowiło przestępstwo.

Tepper wraz z kilkoma podległymi mu „pełnomocnikami” musiał przeprowadzić kolejne przeszukania, lecz trzech potężnych Czarnych, zbrojnych w kije baseballowe i noże, pilnowało nas przed domem.

Całą naszą czwórkę (w różnym stopniu roznegliżowania) zmuszono do siedzenia przez ponad godzinę na lodowatym chodniku, aż wreszcie nadjechała policyjna suka.

Udający się do pracy lokatorzy domu przypatrywali się nam z zaciekawieniem. Wszyscy dygotaliśmy z zimna, a młodą kobietą wstrząsał niepohamowany szloch.

Jakiś mężczyzna przystanął i zapytał, co się stało. Jeden ze strażników odburknął, że zostaliśmy zatrzymani za nielegalne posiadanie broni. Gość zmierzył nas karcącym spojrzeniem i pokręcił z dezaprobatą głową.